

*Nowy
rozdział
w Story
Lake*

LUCY SCORE

*Nowy
rozdział
w Story
Lake*

Tłumaczyła Monika Wiśniewska



GORZKA
CZEKOLADA

Tytuł oryginału
STORY OF MY LIFE

Copyright © 2025 by Lucy Score
Published by arrangement with Bookcase Literary Agency,
and Booklab Agency
Copyright © 2025 for the Polish translation by
Grupa Wydawnicza Media Rodzina Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Cover and internal design © 2025 by Sourcebooks
Cover design by Kari March and Sourcebooks
Cover images © thana_keng/Depositphotos,
MicroOne/Adobe Stock, korkeng/Shutterstock, MD
FOYSAL007/Shutterstock
Map art by Camila Gray
Internal design by Laura Boren/Sourcebooks
Internal illustrations © Olena Zagoruyko/Getty Images, Valeriia Soloeva/
Getty Images, oknebulog/Getty Images
Fotografia Autorki © Brianna Wilbur
Opracowanie polskiego projektu okładki i łamanie Andrzej Komendziński

Postaci i zdarzenia przedstawione w tej książce są fikcyjne i jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób – żyjących lub zmarłych – jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone przez Autorkę.

ISBN 978-83-68242-22-5
2025.1

Gorzka Czekolada jest imprintem
Grupa Wydawnicza Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Poznańska 102, 60-185 Skórzewo
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Grupa Wydawnicza Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

Druk Abedik

*Dla Flavii i Meire,
najlepszych agentek i największych cheerleaderek.
Tak bardzo jestem Wam wdzięczna za wszystko!*



Wino z wazonu i ciosanie kołków na głowie

Hazel

Trzy wyraźnie udręczone, odziane w garnitury i napojone potrójnymi espresso kobiety pod oknem entuzjastycznie planowały zejście z tego świata niejakiego Bernarda z audytu. A może jedynie zamierzały donieść na niego do działu kadr. Trudno stwierdzić w tym kawiarnianym szumie.

Dwaj mężczyźni po prawej stronie, z identycznymi obręczkami, zawzięcie się kłócili o miejsce w garderobie. Dla reszty świata większość rozwodów koncentrowała się wokół kwestii takich, jak pieniądze, dzieci i monogamia. Ja byłam skłonna się założyć, że na Manhattanie w pierwszej piątce powodów znajduje się właśnie miejsce w garderobie.

Przyjmująca i realizująca zamówienia baristka wyglądała na tak znudzoną, że jeszcze chwila, a zapadnie w śpiączkę.

„Śpiączka?” – napisałam w notesie. Czy bohaterka budząca się ze śpiączki to dobry pomysł na *meet-cute*? Ściągnęłam brwi i zaczęłam stukać długopisem o stół. Oczywiście ta śpiączka nie mogłaby trwać długo, w przeciwnym razie pojawiłyby

się problemy takie, jak włoski na nogach, szampon i paskudny oddech.

Kurde. Zasłoniłam ręką usta i próbowałam subtelnie wyczuć, czy pamiętałam dzisiaj o umyciu zębów. Nie. Nie ogoliłam także nóg... ani nie wzięłam prysznic... ani się nie uczesałam... ani nie pamiętałam o kupnie nowego dezodorantu.

Dawna Hazel wynurzała się z mieszkania w takim stanie tylko podczas deadline'ów. Obecna Hazel właściwie cały czas przemykała przez cienie prawdziwego świata jak nieuznająca higieny mysz.

– Dlaczego to jest takie trudne? – mruknęłam.

Para z problemami z szafą zerknęła na mnie z ukosa.

– Ha. Tak właśnie powiedziała? – dodałam.

Spojrzenia z ukosa zastąpiły wyraźnie uniesione brwi i milcząca zgoda na natychmiastowe opuszczenie stolika obok tej szajbuski.

– Nic się nie dzieje. Jestem pisarką. Mówienie do siebie w miejscach publicznych to normalka – wyjaśniłam pośpiesznie.

Mimo to ruszyli z kubkami z kawą w stronę wyjścia i parnego sierpnia.

Z jękiem przyłożyłam dłonie do policzków i ścisnęłam je tak, że wyglądałam jak ryba. Mężczyzna w koszulce z Lennym Kravitzem, wyglądający jakby prowadził własny Genius Bar, zerknął na mnie sponad oprawek Bena Franklina.

Puściłam policzki i posłałam mu człowieczy, taką miałam nadzieję, uśmiech. Mężczyzna wrócił do swoich dwóch telefonów oraz iPada, ja natomiast wytarłam dłonie o szorty. Moja skóra była okropna, tłusta i w dodatku się łuszczyła. Kiedy po raz ostatni wykonałam pełną pielęgnację, zamiast po prostu włożyć głowę pod kran? Ba, kiedy po raz ostatni cokolwiek wykonałam?

Cóż, wczoraj wieczorem wykonałam telefon, aby zamówić pad thai. To się liczyło, prawda?

Rozejrzałam się po kawiarni w poszukiwaniu choćby cienia inspiracji albo motywacji, dzięki którym swego czasu byłam produktywną osobą dorosłą. Nigdzie ich jednak nie znalazłam. Z westchnieniem wykreśliłam „śpiączkę”, a także „od wrogów do wrogów” i „kajaki”. To ostatnie podsłuchiłam u dziarskich irlandzkich emerytów, którzy wyglądali, jakby wyszli przed chwilą ze sklepu z odzieżą outdoorową. Zamówili matche i bezglutenowe bułeczki, po czym wymaszerowali z kawiarni w identycznych butach do górskich wycieczek.

Zegar na ścianie obwieścił koniec pracy. Siedziałam tu od trzech godzin i nie miałam nic oprócz pustego kubka z moim imieniem po mrożonej kawie. Byłam na osiemdziesiąt procent pewna, że to tylko podświadomość kazała mi wierzyć, że baristka wrzasnęła: „Mrożone waniliowe latte dla Hasbeen”.

Wstałam z jękiem, jaki wydają ludzie nie pierwszej młodości, kiedy w domu podnoszą się z krzesel. Zbyt długo gniłam w swoim mieszkaniu, skoro nie pamiętałam, czym się różnią od siebie dźwięki wydawane „w prywatności własnego domu” i „w obecności innych ludzi”. Pozbierałam moje pisarskie akcesoria – notatnik, długopis, laptop i telefon – i wyszłam na panujący w Nowym Jorku upał.

Powietrze miało tak dużą wilgotność, że nim doszłam do końca przecznicy, moje włosy podwoiły swoją objętość. Uniosłam właśnie rękę, aby je przyklepać, kiedy ramieniem potracił mnie mierzący metr sześćdziesiąt facet w szytych na miarę ciuchach od Ralpha Laurena, wykrzykujący do telefonu coraz bardziej eskalujące groźby.

Zoey uznałaby go za finansistę i obrzuciła obelgami. Była także kobietą, która jak nic mnie zamorduje, kiedy się dowie, że nadal nic nie mam. Żadnych rozdziałów, żadnego zarysu fabuły, żadnych pomysłów. Żyłam według potwornego scenariusza w stylu *Dnia świstaka*, gdzie każdy dzień był taki sam,

jak poprzedni. W przeciwieństwie do Billa Murraya ja nie odnalazłam jeszcze swojego celu.

Gdy dotarłam do mojego budynku, sąsiadka, której imienia nie znałam, przez ujadanie swoich dwóch yorków musiała nie usłyszeć mojego błagania o przytrzymanie drzwi windy. Resztą mi się udało pokonać schodami cztery kondygnacje.

Stan mojego mieszkania odzwierciedlał stan mojego umysłu. A dokładniej, panował w nim katastrofalny wręcz bajzel. To swego czasu „czarujące” i „nieskazitelnie czyste” mieszkanie z dwiema sypialniami na Upper East Side wyglądało, jakby potwór z bagien przeciął właśnie wstęgę pchlego targu z hałą śmieci.

– To oficjalne. Jestem jedną z tych osób, którym miesza się w głowie i zaczynają zbierać opakowania po sosie sojowym i reklamy – rzuciłam w przestrzeń.

Na każdej widocznej powierzchni leżały poukładane chaotycznie sterty korespondencji i dokumentów. Z ciężkich regałów z drewna orzechowego wysypywały się na podłogę książki. Mikroskopijny aneks kuchenny był niemal nie do rozpoznania pod jakimiś ośmioma warstwami brudnych naczyń i pojemników po jedzeniu na wynos. Na ścianach wyklejonych kolorową tapetą, którą kiedyś uważałam za uroczą, wisiały oprawione w ramki dowody uznania i wspomnienia dawno minionego życia.

Na chwilę się ożywiłam.

– A może bohaterka to zbieraczka? Faj. Nie. Ani to seksowne, ani higieniczne.

Dawna Hazel nigdy nie zapuściłaby tak mieszkania. Mnóstwo rzeczy dawna ja zrobiłaby inaczej. Ale ona była już pożrecona wieki temu. Odpoczywaj w pokoju, dawna Hazel.

Poszłam do łazienki, aby przebrać się ze sportowych szortów „do wychodzenia z domu” w szorty „ile dziur w kroczu to już za wiele?”. Pora wrócić do pracy... albo przynajmniej spędzić

kolejne godziny na krytykowaniu siebie za to, że stałam się najsmutniejszą autorką komedii romantycznych na świecie.

Jęknęłam, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Jakiej części bezkontaktowej dostawy nie rozumiesz? – burknęłam, odrywając tyłek od sofy.

Czubkiem kapcia zahaczyłam o nogę ławy, przez co na ziemię spadł wodospad nieotwartej korespondencji.

Sięgnęłam po pasek szlafroka, tyle że zdążył gdzieś zniknąć. Owinęłam się więc połamami, zasłaniając T-shirt, pod którym nie miałam stanika, i otworzyłam drzwi.

– Wyglądasz jak kupa.

Obdarzona kręconymi włosami kobieta w czerwonym spodnim uraczyła mnie krytycznym spojrzeniem, nie zaś za-mówioną chińszczyzną.

Puściłam poły szlafroka i skrzyżowałam ręce na piersiach.

– Co tutaj robisz, Zoey? Jestem bardzo zajęta.

Moja nieproszona gościni minęła mnie w progu i w bajecznych szpilkach na dziesięciocentymetrowych obcasach wkroczyła do mieszkania, roztaczając zapach drogich perfum. Zoey Moody, mająca obsesję na punkcie mody agentka literacka i jednocześnie moja najlepsza przyjaciółka od trzeciej klasy, wiedziała, jak zrobić efektowne wejście.

Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie. Zazwyczaj spotykałam się z Zoey u niej albo w lokalach serwujących alkohol, dzięki czemu mogłam spokojnie mieszkać jak Oskar Zręda.

– Zajęta czym? Gniciem? – zapytała, biorąc do ręki za-tłuszczony karton po pizzy, leżący na szczycie góry brudnych talerzy.

Wyrwałam go z jej rąk i próbowałam wcisnąć do kosza na śmieci, tyle że uniemożliwiła to wysypująca się z niego zawartość.

– Wcale nie gniję. Ja... pracuję nad fabułą – skłamałam.

- Robisz to już od roku.
- Poddałam się i rzuciłam karton na podłogę obok kosza.
- Wiesz, kto uważa, że pisanie książek jest proste? Ludzie, którzy sami nic nie napisali.
- Wiem. Pisarze to delikatne kwiatuszki kreatywności, potrzebujące opieki i podlewania. Bla, bla, bla. Wiesz co? Agenci też potrzebują różnych rzeczy. Ja na przykład tego, aby moi klienci odbierali cholerne telefony. Czy ty w ogóle wiesz, gdzie się podziewa twój?
- Jest tam. – Machnęłam ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.
- Zoey ściągnęła brwi i zacisnęła usta.
- Kiedy po raz ostatni wyszłaś gdzieś na kolację? Albo żeby się przewietrzyć? Albo, nie wiem, wzięłaś prysznic?
- Jej jasnorude loki zadrżały w wymyślnym upięciu.
- Uniosłam rękę i powąchałam. Kurde. Znowu zapomniałam zamówić dezodorant.
- Jakbym słyszała moją matkę, każącą nastoletniej mnie odłożyć książki, wyjść na dwór i być towarzyską – poskarżyłam się. – To było między mężem numer dwa a mężem numer trzy, na wypadek, gdybyś prowadziła rachubę.
- Nie jestem twoją matką. Jestem twoją agentką i czasami przyjaciółką. I w imieniu obu muszę ci oświadczyć, że oficjalnie osiągnęłaś standardy starokawalerskie.
- A nie staropanińskie?
- Podniosła z ziemi skarpetkę ubrudzoną sosem sojowym.
- Ile znasz starych panien, które mieszkają w miejscu wyglądającym jak męska szatnia w liceum?
- Wszystko jasne. Słuchaj. Nie jest tak, że podjęłam decyzję, iż fajnie będzie zafundować sobie zanik inwencji twórczej w pakiecie z aspołecznością – przypomniałam jej.
- Zoey otworzyła lodówkę i natychmiast tego pożałowała.
- Tam coś rośnie.

– Zapomniałam ci powiedzieć. W wolnym czasie zajmuję się miejskim rolnictwem. – I zatrzasnęłam lodówkę.

– Cóż, jeśli nie wezmiesz się jakoś w garść, będziesz miała znacznie więcej wolnego czasu – oświadczyła złowieszczco.

Przecisnęłam się obok niej i pochyliłam, aby wsunąć rękę do szafki w małej wyspie. Kosztowało mnie to kilka sekund i naciągnięty mięsień szyi, ale znalazłam w końcu butelkę wina i nawet udało mi się ją wyłowić.

– Wina?

– Nie będę konsumować niczego w tym mieszkaniu. Nie mam czasu na użeranie się potem z gronkowcem. Powiedz mi, że przynajmniej coś piesz.

– Jasne. Rozdziały dosłownie wyfruwają mi z tyłka.

– Dobrze by było – mruknęła.

– Przejdź do rzeczy. Co tutaj robisz w czwartek w południe, Zo?

Moja agentka i najlepsza przyjaciółka podeszła do okna w salonie i teatralnie rozsunała ciężkie zasłony. Wskazała na światła na sąsiednim budynku.

– Jest dziewiętnasta w poniedziałek.

Udałam, że jestem zszokowana.

Przewróciła oczami, kiedy dotarło do niej, że ją nabrałam.

– Straszny z ciebie wrzód na tyłku.

– Owszem, ale twój. Chciałabym jednak zauważyć, że mam także trzydzieści pięć lat. Nie potrzebuję, abyś gdakała nade mną jak matka kwoka.

Znałyśmy się znacznie dłużej, niż miałyśmy to ochotę liczyć. Od aparatów na zębach i sukienek na studniówkę do tras promocyjnych i list bestsellerów... i tego, co było dalej.

– Masz trzydzieści sześć lat.

Zamrugalam, po czym zaczęłam dokonywać obliczeń.

– Pamiętasz swoje urodziny? Powiedziałaś, że zaplanowałaś sobie na ten weekend pisanie w wynajętym na Airbnb mieszkaniu w Connecticut, tyle że kiedy zjawiłam się tutaj,

aby zostawić ci kwiaty i ciasto, zastałam cię w brudnym dresie, urządzającą sobie maraton Złotek. Więc wyciągnęłam cię na wino i więcej ciasta?

Super. Teraz wylatywały mi już z pamięci całe urodziny.

– Skoro mowa o winie...

Otworzyłam szafkę obok lodówki i przekonałam się, że nie ma w niej żadnych kieliszków ani szklanek. Niezbyt entuzjastycznie przejrzałam ustawione wokół zlewu naczyń. Co to za niebieskie coś rosnące na obrzeżach tamtej miski?

Wypatrzywszy niski, szeroki i – co ważniejsze – czysty wazon, odkręciłam butelkę i wlałam do niego wino.

– Masz na sobie szlafrok z plamami po sosie marinara, siedzisz w ciemnym, brudnym mieszkaniu i pijesz z wazonu tanie wino – podsumowała Zoey.

– Dobry redaktor powiedziałby, że to lapidarne i wymowne.

– Wysiorbałam z wazonu spory łyk wina.

– Nie jestem twoją redaktorką, tylko agentką, i chcę, abyś w końcu się ogarnęła.

To była bardziej agresywna wersja wiadomości, którą Zoey przekazywała od kilku miesięcy. Wzbudziło to we mnie podejrzenia.

– Ale w czym problem?

– Byłam właśnie na spotkaniu.

– Stąd ten garnitur „nie zadzieraj ze mną”.

– To było spotkanie z twoją redaktorką z Royal Press, Mikaylą, która wyraziła dość spory niepokój – oświadczyła, po czym spod zlewu wyjęła nowy worek na śmieci i energicznie go otworzyła.

– Wolno mi powiedzieć, że to dobrze, że to ja jestem pisarką, a nie ty? Poza tym kim, u licha, jest Mikayla? Moja redaktorka to Jennifer.

Zoey umieściła w worku na wpół opróżnione pudełko ze starym smażonym ryżem.

– Sześć miesięcy temu zwolniono Jennifer razem z połową zespołu redakcyjnego. Mikayla była młodsza i dlatego też tańsza.

– Ona w ogóle czyta romanse?

– Woli thrillery psychologiczne.

– Och, w takim razie mam wątpliwości co do tego, czy w pełni zrozumie mnie i moje małomiasteczkowe rom-comy.

– Możliwe, że tak, o ile prześlesz w końcu tekst – odcięła się Zoey.

– Przepraszam, ale co się stało z etapem „nie spiesz się, masz za sobą traumatyczne przeżycia”?

– Ten etap się skończył jakieś sześć miesięcy temu, a od tamtej pory żyjesz na kredyt z czasem. Jeśli nie dotrzymasz następnego deadline’u, Royal Press zerwie z tobą umowę.

Prychnęłam i zaczęłam wrzucać do kolejnego worka na śmieci pudełka po jedzeniu na wynos.

– Jasne. Nie mogą tego zrobić.

– Mogą i zrobią. Zacytowali mi twoją umowę, co oznacza, że zaangażowali już swój dział prawny. Nie dotrzymałaś przedłużonego deadline’u. Znowu.

– Ja dopiero staję na nogi. Nie mogą oczekiwać, że od razu...

– Hazel, podpisałaś tę umowę dwanaście miesięcy temu – powiedziała cicho Zoey. – Twój wydawca wyrozumiale trzy razy przesunął ci termin złożenia tekstu. Tym razem nie przedstawiałaś nawet żadnych uspokajających kłamstw. Niczego nie podesłałaś. A wiesz, jak to wygląda dla nas wszystkich z branży wydawniczej?

– Nie, ale na pewno mi powiesz.

– Wygląda to tak, że się skończyłaś. Kolejna wypalona autorka, która nie daje już rady. Jedna z tych osób, które mówią, że kiedyś pisały książki.

– Dramatyzujesz. Co oni zrobią? Rozwiążą ze mną umowę? Czytelniczki znienawidzą ich za to, że wykopali mnie, kiedy byłam w dołku.

Zoey wepchnęła do worka całą reklamówkę reklamówek.
– Jakie czytelniczki, Haze?
– Moje. – Zdecydowanie potrząsnęłam workiem.
– Te, które ignorujesz? Te, którym nie raczysz odpisywać?
Te, które przerzuciły się na czytanie autorek, które nadal coś wydają?

Wyrwałam z jej rąk pełen worek i go zawiązałam.

– Serio, co cię dziś ugryzło w ten twój wyćwiczony na rowe-rze spinningowym tyłek?

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Hazel, kiedyś byłaś jedną z najlepszych autorek komedii romantycznych.

– „Kiedyś byłaś”? Nieprzyjemna jesteś w tym garniturze.

– A potem pozwoliłaś, aby ktoś namieszał ci w głowie, i spójrz teraz na siebie.

Nie miałam szczególnej ochoty patrzeć.

– Haze, jeśli teraz zawiedziesz, to wylatujesz – oświadczyła Zoey.

Wepchnęłam do worka stertę ulotek z jedzeniem na wynos, których do tej pory używałam do wycierania, kiedy coś mi się rozlało. Jednocześnie udawałam, że wcale nie zmroziło mnie w środku.

– Nie mogą mi tego zrobić. Napisałam dla nich dziewięć książek. Z których siedem to bestsellery. Jeździłam z nimi po całym kraju. Czytelniczki nadal piszą do mnie e-maile z prośbami o kolejne książki.

Tak przynajmniej było, kiedy po raz ostatni otworzyłam skrzynkę służbową.

– Taa, cóż, twój wydawca prosi cię o to samo. O książkę z serii Spring Gate, do której napisania jesteś zobowiązana umową. Wiesz równie dobrze jak ja, że dla wydawcy autor jest tylko tak cenny, jak jego następna książka. A ty jej nie masz.

Wyjęła kolejny worek, ponownie otworzyła lodówkę

i wstrzymując oddech, zaczęła wrzucać do niego woreczki ze zgniłym miksem sałat oraz inne produkty, których termin ważności dawno minął.

Nie miałam pojęcia, jak powiedzieć Zoey, że Spring Gate jest dla mnie martwe. Że pomysł o powrocie do serii, którą swego czasu tak kochałam, która wywindowała mnie na szczyt, wywołuje we mnie mdłości.

Ooch! Może moja bohaterka mogłaby być profesjonalną sprzątaczką wynajętą przez bohatera do posprzątania domu nieżyjącego krewnego? Do tego mogłabym w tę historię wpleść metamorfozę domu. Już widziałam, jak bohaterka w uroczej bandanie i z plamami brudu na policzkach wyrzuca do kontenera różne rzeczy.

– Nie jestem w stanie kontrolować procesu twórczego, okej?
– powiedziałam i sięgnęłam po najbliższej leżący notes.

„Sprzątaczką. Kontener na śmieci. Brudna twarz”. Ta książka pisała się właściwie sama.

Zoey zerknęła na mnie ponad drzwiami lodówki.

– Jeśli to prawda i rzeczywiście nie dotrzymasz tego deadline’u, musisz przystąpić do pracy nad planem B.

– A czym konkretnie jest ten plan B? – zapytałam ostro.

– Możliwe, że powinnaś zacząć pisać CV.

Rozłożyłam szeroko ręce, prezentując Zoey dziurawe spodenki, skarpetki od pary i kaptcie Rabid Bunny.

– Czy według ciebie wyglądam na osobę, którą ktoś chciałby zatrudnić?

– Ani trochę.

Opuściłam ręce wzdłuż tułowia i zacisnęłam dłonie w pięści.

– W porządku. Będę pisać. Okej?

Zamknęła lodówkę. Przyszpiliła mnie spojrzeniem zielonych oczu.

– Od miesięcy nie słyszałam twojego śmiechu. Pamiętasz jeszcze, jak to jest być zabawną?

– Jestem cholernie przeżabawna. Nie dalej jak dzisiaj szlafrok zakleszczył mi się w drzwiach windy, dzięki czemu pani Horowitz miała radochę.

Właściwie było to ponad tydzień temu, ponieważ wtedy właśnie po raz ostatni wyniosłam śmieci. Ale w byciu zabawnym nie chodziło o precyzję, lecz o wycucie czasu.

– Czy to jest ważne? – Zoey uniosła stertę dokumentów z kółkiem po kawie na pierwszej kartce.

Wyrwałam je z ręki przyjaciółki.

– Nie – skłamałam, odkładając je na lodówkę.

– Słyszę krążące wokół mojego gabinetu szept – oświadczyła.

– Może jest nawiedzony?

Ooch! A może komedia romantyczna z akcją rozgrywającą się w małym miasteczku ze szczyptą efektów paranormalnych? Może bohater widzi duchy? A może bohaterka podczas sprzątania odkrywa zombie? Zaraz. To nie było paranormalne.

– Martwią się o wydajność.

Udałam, że mam odruch wymiotny.

– Wiesz, że nie znoszę tego słowa.

– Cóż, lepiej uczynić z niego swoją mantrę, ponieważ nie chcę, aby kazano mi się ciebie pozbyć.

– Chcesz się mnie pozbyć? Zoey! Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy? Po tym, jak Zack Black zaprosił nas obie na bal w gimnazjum? Po tej grypie żołądkowej w Vancouver? Po tym, jak nie zdążyliśmy na samolot do Brukseli i ostatecznie pojechaliśmy tam na stopa autobusem zespołu punkowego z Amsterdamu?

Wyrzuciła w górę ręce.

– Ja nie chcę się ciebie pozbyć! Pragnę być twoją agentką i zarabiać z tobą kupę kasy, ale niczego mi w tej chwili nie ułatwiasz!

– Wiem – bąknęłam żałośnie.

– Słuchaj, Haze. Nie chcę być niemila i w ogóle, ale sprzedaż masz najniższą od czasów, kiedy raczkowałaś jako autorka. Czytelniczki od nie wiadomo kiedy nie widziały twojej twarzy. Ponad rok nie wysyłałaś żadnego newslettera. Ostatnio byłaś aktywna w mediach społecznościowych, kiedy zhakowano ci konto i Fejkowa Hazel zaczęła wysyłać do obserwatorów wiadomości prywatne z prośbą o „pomoc finansową na przeszczep nerki w luksusowej klinice”.

– Dla wszystkich swoich klientów jesteś taka nieprzyjemna?

– W twoim przypadku nie sprawdza się głaskanie po główce, lecz brutalna prawda. A raczej kiedyś tak było.

– O mój Boże, i po co ten dramatyzm? Okej. W porządku. Zrobię to.

Zoey umieściła pełen worek ze śmieciami na drugim pełnym worku ze śmieciami, leżącym na pełnym koszu na śmieci.

– Ale co?

Zamachałam wazonem z winem.

– To podpisywanie, na które wcześniej się nie zgodziłam.

Zabębniła błyszczącymi czerwonymi paznokciami o wypę i uważnie mi się przyjrzała.

– To już coś, ale nadal za mało.

Z eleganckiej aktówki wyjęła dwie grube teczki i rzuciła je na świeżo posprzątany blat.

– Przeczytaj to.

Westchnęłam.

– Skoro ciosanie kołków na głowie się skończyło, napijesz się wina?

– Nie spożyłabym niczego w tym mieszkaniu, nawet gdyby zjawił się Pedro Pascal i zaproponował, że nakarmi mnie łyżką.